

Józef Mackiewicz

Janusz Kowalewski w recenzji o książce Sergiusza Piaseckiego "Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", zamieszczonej w "Tygodniu Polskim", pisał:

Prawda literatury to nie znaczy autentyk, dokument - to prawda literacka, artystyczna, w której element fantazji, deformacji, kompozycji też jest prawdą. A prawda pisarza, to wierność literaturze i czytelnikowi. Z tych dwu prawd rodzi się to, co nazywamy stylem danego pisarza, to jest to, co od razu możemy rozpoznać, a czego nigdy dokładnie nie możemy określić".

Bardzo słuszne spostrzeżenia. Mógłbym zarzucić Piaseckiemu deformację prawdy w niejednym szczególe, wytknąć trochę błędów rzeczowych. Niektóre sytuacje nie mogły być prawdziwe, niektóre zdarzenia są powtórzeniem znanych kawałów. A jednak całość oddaje niewątpliwie prawdę tamtego świata i przez to przykuwa czytelnika i przesądza o "magii" literackiej tej książki, o czym wspomina sam autor i słusznie interpretuje ją w przedmowie Juliusz Sakowski. "Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" był pierwszym utworem Piaseckiego. Pamiętam wrażenie, jakie zrobił dawny wstęp do niego, ogłoszony w "Wiadomościach Literackich". Wtedy o Piaseckim mówiono jeszcze jako o przestępcy odsiadującym karę w najcięższym bodaj więzieniu w Polsce, a nie o literacie. Poznałem go bardzo dawno.

Przez redakcję, w której pracowałem jako młody dziennikarz, przewijały się różne typy. Należał do nich np. Muraszko Józef, który będąc przodownikiem policji zastrzelił w Stołpcach Wieczorkiewicza i Bagińskiego i po wyjściu z więzienia chodził po mieście z owiniętym w gazetę "naganem" pod pachą. Twierdził, że czatują nań komuniści. Długa lufa wysterczała z papieru, i w ten sposób odwiedzał dyrektorów banków ubiegając się grzecznie o pożyczkę. Dostawał jednak. „/”Co, pan nie ma pieniędzy?! - dziwił się, gdy pytałem go jak to robi/. Drugim z takich narwańców był Urke Nachalnik, autor książki "Pamiętnik własny przestępcy". Żyd wschodni, b. złodziej zawodowy. Zaczął on kraść jeszcze w Druskiennikach, gdy przed pierwszą wojną światową były wdzięcznym uzdrowiskiem. Facet trochę już podtatusiał. Skarżył się na jednego z kolegów redakcyjnych, który wziął odeń kilka książek na sprzedaż i nie oddawał długo pieniędzy: "Pan wie - mówił - co ja jemu powiem" Ja jemu powiem: Pan jesteś tym, czym ja

Sergiusz Piasecki i jego niedźwiedzica

Autor: Józef Mackiewicz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

przystałem być! O". Urządzano dla niego "Środy Literackie" w murach pobazylińskich z całą Konrada w środku. Przychodził wojewoda wileński, miejscowa śmietanka intelektualna. Raz Nachalnik zasiedział się u mnie i wyjął złoty zegarek: "To nie kradziony, nie... Uś, muszę brać zwoszcika na gwałt, bo wojewoda czeka!" - Na książce zarobił.

Kiedyś pojawił się Piasecki, za którym szła fama rabunkowego morderstwa. Ale już od razu widać było, że to inna klasa. Skromny jakby nawykły do opanowania nerwów; w jego spojrzeniu dziwnie kojarzyła się ponurość z łagodnością. "Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" miał, jak wiadomo, wielkie powodzenie. Jakaś tam umowa z "Rojem" Melchiora Wańkowicza. Słyszałem o niej za dużo, żeby się rozpisywać. Piasecki z miejsca utonął zainteresowaniem w literaturze. Z nadgorliwością neofity. Był szczęśliwy z nowego obrotu rzeczy i z nowego zawodu. Nie pamiętam już, co mi opowiadał o swoim pochodzeniu. Zdaje się, że był Rosjaninem i prawosławnym. Teraz stał się Polakiem, katolikiem i patriotą. To potrójne zerwanie z przeszłością wycisnęło pieczęć na późniejszym jego życiu.

Trzeba wziąć pod uwagę, że Piasecki, zanim doszedł do rękopisu "Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", miał za sobą życie "bujne" i chmurne, jak się mówi w poetyckiej przenośni. Pod chmurami naszej granicy z Sowietami uprawiał przemyt. Przemyt przemytem, ale przedtem był też agentem ekspozytury II Oddziału i z jej polecenia chyba nie raz narażał życie po tamtej stronie. To mu zresztą to życie uratowało i, wskutek interwencji pewnych sfer wojskowych, zamieniło karę śmierci na ciężkie więzienie.

Piasecki był naprawdę człowiekiem odważnym. Nie jest blagą co pisze.

Z Sergiuszem Piaseckim zszedłem się bliżej dopiero podczas okupacji niemieckiej. Bolszewików on zawsze nienawidził. A pod okupacją niemiecką stanął na czele "egzekutywy" podziemnej. Był więc stale zagrożony z dwóch stron, a czasem trzech... To prawda, co pisał o tym okresie w swym cyklu "Wieża Babel". Z pewnymi zastrzeżeniami.

Za okupacji niemieckiej kierował ekipą wykonującą podziemne wyroki śmierci, częściowo własnymi rękami. Była więc to robota ciężka, krwawa i głośna. Czasem ryzykowna, czasem nie. W istocie często robota brudna. Tak było np. z polowaniem podziemia na młodą i bezbronną dziewczynę. Wyleżyńska była córką czcigodnych rodziców, znanego muzyka i profesora konserwatorium wileńskiego. Raz, ranna skrytobójczą kulą, trafiła do szpitala. Tam do konspiracji wciągnięto nawet siostrę szpitalną, ażeby ułatwić zabicie chorej w łóżku. Sam Piasecki miał rozbić jej czaszkę kolbą pistoletu. Wtedy się nie udało. Później zastrzelona

Sergiusz Piasecki i jego niedźwiedzica

Autor: Józef Mackiewicz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

została w bramie własnego domu, gdy wracała razem z matką z opatrunku. "Całe miasto wiedziało o tym, że afiszuje się z Niemcami". ... Istotnie, fama ta szła za nią tuż, wszędzie, gdziekolwiek stąpała. Osobiście nie widziałem jej nigdy na oczy, ani w towarzystwie Niemców, ani samej, i nie mam pojęcia, jak wyglądała. Ale słyszałem, naturalnie, o tym nawet w moim Czarnym Borze, skąd rzadko, piechotą wędrowałem do miasta. Było dla mnie od początku rzeczą jasną, że ta powszechnie wystawiona jej legitymacja musiała, oczywiście, tamować jej wszelki dostęp nie tylko do konspiracji /bo cóż by to była za konspiracja!/, ale nawet do sfer z organizacją podziemną bezpośrednio nie związanych. Istotnie, mówiono, że ludzie unikali jej jak zapowietrzonej. Nic przeto wiedzieć nie mogła, nikogo "sypać", nikogo zdradzać, Bo skąd?! Skoro nie miała nigdzie kontaktów.

Zwróciłem uwagę na ten brak logiki Piaseckiemu. Nie pamiętam już, co mi odburknął wtedy w odpowiedzi. Ale w swej książce "Dla honoru organizacji" usprawiedliwiał jej zabicie, że wydawała ludzi w ręce Gestapo, że nawet miała głośno grozić, że "będzie sypać" itd., itd. Jeżeli wszystko to nie trzymało się kupy, to z drugiej strony trzymało się na pewno "kupy" ówczesnych emocji,

Piasecki był szczerze oburzony, gdy były współpracownik bolszewickiej "Prawdy Wileńskiej" i agent sowiecki w czasie okupacji niemieckiej, wydrukował w podziemnej polskiej "Niepodległości" napaść na moją osobę. Był to jeden z klasycznych chwytów "wykańczania". Na taką publikację nie było bowiem rady. Czytały ją tysiące. Opowiadały z ust do ust dziesiątki tysięcy. A nie można było jej obalić sprostowaniem, ani wycofaniem się z tego oszczerstwa redakcji, gdyż osoba raz wymieniona z imienia i nazwiska podpadałaby po takim "sprostowaniu" w prasie podziemnej automatycznie pod śledztwo Gestapo. To jasne. Nie można było wytoczyć "sprawy", ani według kodeksu sądowego, ani "kodeksu Bożewicza"... Nie można było nawet skuć mordy oszczercy, jeżeli się znało, jak w tym konkretnym wypadku, osobę autora. Gdy głośna awantura mogła naprowadzić /nie daj Boże!/ na nici podziemnych powiązań. Nie można było zrobić nic, poza tajnym odwołaniem do czynników tajnej organizacji, przespikowanych zresztą podobnymi agentami, co w praktyce nie dawało nic. Tymczasem, jak mówi rosyjskie przysłowie: "Napisanego i toporem nie wyrąbiesz" ... A w tamtych czasach, gdy nie było jeszcze praktyk Polski komunistycznej i jej poputczików na Zachodzie, człowiek się przejmował takimi oszczerstwami. Na usilne nalegania mego przyjaciela A., złożyłem jednak taką skargę do "prokuratury podziemnej", czego się dzisiaj, przyznam szczerze, wstydzę. - Piasecki zżymał się i pomstował, i odgrażał nawet. Przypadkowo wyratował mnie nawet z ciężkiej opresji "uratował życie"/, gdy z narażeniem własnego wykrada z szuflady aresztowanego właśnie A. ważne dokumenty, a m. in. moją skargę, która z pełnym podpisem omal nie wpadła w ręce Gestapo. To było wiele, ale zarazem wszystko co mógł, czy też co chciał uczynić, aby nie zadrzeć z czynnikami, z którymi zadzierać nie chciał. Takie to były czasy.

Trafnie dziś pisze ppłk W. Marcinowski w "Zeszytach do historii NSZ" o pewnym wybitnym

działaczu podziemia tamtych czasów "Łgał, bo mu się zdawało, że konspiracja rozgrzesza wszelkie łgarstwo..." Tak, bywało. Słusznie też w tych samych "Zeszytach" /obok wielu rzeczy, w moim przekonaniu, niesłusznych/ podkreśla dr K. Gluziński wielokrotnie tę "koncesję, którą trzeba było mieć od grubej czwórki"... Koncesję podziemnego legalizmu" na walkę z okupantami... A zwłaszcza obawy, aby poza udzieloną ewentualnie koncesją, "nie scementował się przyszły polski front antykomunistyczny... "

Piasecki był przekonany antykomunistą. Był człowiekiem bezwzględnie śmiałym, bezwzględnie odważnym. Ale przeżycia sprzed wojny, które go powróciły z więzienia Św. Krzyża na łono legalnego bycia społecznego, kazały mu - tak mi się zdaje - ten "legalizm" cenić, osobiście, ponad miarę. Chciał przy nim pozostać zdawało się - za wszelką cenę. Cieszył się niejako ze swego patriotyzmu i poświęcenia dla sprawy. Stąd może niektóre jego przedstawienia w "Dla honoru organizacji" mają trochę wtrętów polrealistycznych. W rzeczywistości poświęcenie ocenione jest post factum przez tzw. opinię, a jakże często kierowaną przez pół tuzina facetów. I nagrody, ani uznania za swe zabójstwa, za swą odwagę Piasecki nie doczekał.

W późniejszym okresie, już dawno po więzieniu, dawno po "Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy", po wojnie, kiełkowała w Piaseckim - wiem o tym - pewna myśl, idea. On chciał zachować osobistą solidarność z tym światem, z którego sam ongiś, dawno przed wojną, wyszedł: z "wykolejonymi" - co społeczeństwo identyfikuje z elementem przestępczym - a jednocześnie nie chciał rzucać temu społeczeństwu zbyt wyzywającej rękawicy, Chciał tamtych ludzi przedstawić jako "też ludzi"; chciał wystąpić w ich obronie /nie w sensie socjalno-rewolucyjnym, do czego miał zawsze awersję, ale indywidualnej/, tych "poniżonych i pokrzywdzonych"/ poniżennych i oskarżonych/, do których zaliczał zwichniętych życiem, i często zwykłych kryminalistów. Nie wyszedł z tego jednak ani Dostojewski, ani Gorki, Victor Hugo, czy Zola. Powiedzą: brak mu było do tego talentu. Być może, choć talent, tzn. jego ocena, jest rzeczą często relatywną.

Raczej po prostu: Piasecki, chcąc wytłumaczyć przed społeczeństwem swoich bohaterów, popadał w czarno-białe szkice, jak np. w "Jabłuszku" i innych tej serii. Zaczął pisać o różnych złodziejach itp. jakby to byli jednostronnie pozytywni ludzie. A jednostronnych ludzi na świecie nie ma. Nawet jednostronnie ujemnych, choć w tym szczególnie celuje rodzima publicystyka, literatura, a nawet historiografia.

Przy tym Piasecki bywał szczególnie drażliwy na tym punkcie. Miał mi długi czas za złe np., że w pewnym emigracyjnym piśmie wytknąłem mu te białolice typy złodziejasków z jego "Jabłuszka". Mimo wrodzonej skromności popadał też czasem w patos. W Rzymie, po wojnie, gdzieśmy wypili немало wspólnie "grapy" i wina, dumnie nosił swój mundur podporucznika.

Choć palił się, że panowie oficerowie czynią mu niejakię wstręty, ze względu na jego przeszłość... Zdaje się też, było jego osobistą tragedią, że miał trudności z weryfikacją owego stopnia oficerskiego. Nie pamiętam, jak się skończyło. Pamiętam natomiast, jak kiedyś w klubie "Orła Białego" w Londynie, przy obiedzie, używał takich frazesów jak: "Muszę teraz pracować, bo społeczeństwo chce ode mnie... Społeczeństwo wymaga ode mnie..."

Nie jestem też pewien, czy wszystkie jego poprawki do "Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" były szczęśliwe. Jeżeli jednak niektóre z nich nie były udane, niemniej powieść ta w swej całości, z okresu gdy autor nie ujawniał jeszcze tendencji posłanniczych, była i pozostała znakomitością. Dziś należy niewątpliwie, choć nie do "klasyków" literatury polskiej, to w każdym razie do rzędu książek, o których się potocznie mówi, że trzeba je przeczytać, trzeba je znać. /"Jak to, nie czytałeś Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy Piaseckiego?!"/. - Tak więc wznowienie jej przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie było, mówiąc językiem urzędowym, aktem z zakresu czynności tej fundacji w pełni zgodnym z jej celem.

Niedawna zawstydzająca jednomyślność ujawniona w ocenie osoby i twórczości Witolda Gombrowicza na łamach "Wiadomości" zaprezentowała zarazem kolekcję słowną, którą złośliwi mogliby nazwać "pustosłowiem". Uznano nawet za "niedopuszczalne" /!/ podważanie osobistej wielkości Gombrowicza. Jest to, nawiasem mówiąc, admonicja przez nas ulubiona. Przez "niedopuszczanie" bowiem innej głośniejszej myśli, stwarza się właśnie jednomyślność w narodzie, tak wysoko przez Polaków cenioną. Nie potrafię się jednak pozbyć przypuszczenia, że gdyby znane były już wówczas listy Gombrowicza do Jarosława Iwaszkiewicza /ogłoszone dopiero w grudniowej "Twórczości" warszawskiej/, pewna część apologetów mogłaby odpaść. Choć pozornie na ocenę twórczości literackiej nie powinny by wpływać pozaliterackie zabiegi o pieniądze u komunistycznego okupanta. To należy już bowiem do kompleksu, który paryska "Kultura" trafnie określiła: "Grandeurs et miseres". Może moje przypuszczenie jest błędne w danym wypadku, ale skłania mnie raz jeszcze do medytacji, jak w gruncie kruche bywają podstawy wielu masowych zachwyty. Nie tylko dla sztucznie wyśrubowanych wielkości, ale nieraz wielkości autentycznych. To będą zresztą zawsze rzeczy umowne, jeżeli chodzi o ustalenie kategorii w dziedzinach niewymiernych.

Do jakiej kategorii zaliczyć by wypadało powieść "Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy"? Przełożono ją na 16 języków. Więcej, czy mniej niż Gombrowicza? Nie wiem. Czy to dużo, czy mało? - zapyta może niewtajemniczony w te sprawy czytelnik. To rzecz względna. właśnie opowiada mi Jerzy Kosiński _ /gdy mu pokazałem, że moje książki wydane zostały, pożał się Boże, w 8 językach/ - że jego "Farbowany ptak" przetłumaczony został na 29 języków! W tej liczbie na afrykańskie. A nakład w Stanach Zjednoczonych wszystkich wydań, twardych i miękkich, i kieszonkowych, i jeszcze jakie bywają, przekroczył łącznie cztery miliony egzemplarzy!... I to on mnie mówi, mnie, gdy się akurat dowiaduję, że niemieckie i francuskie wydania "Drogi donikąd" poszły właśnie na przemiał... To jest też coś z rodzaju "Grandeurs et

Sergiusz Piasecki i jego niedźwiedzica

Autor: Józef Mackiewicz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

miseres", tylko z innej beczki niż skrzętne zabiegi Gombrowicza o przychylność Polski komunistycznej... Kto czyta książki Kosińskiego? /Ostatnio: "Steps"/. Przed wszystkim - studenci całego świata. Ponoć dostrzegają w nich rodzaj posłannictwa.

Wyjdźmy z orbity kategorii w lasy białoruskie, gdzie przebiegała ongiś granica wytknięta sowiecko-polskim traktatem ryskim z r. 1921. Tam, w bliskości Rakowa, przekraczał Piasecki tę granicę z przemytem. W jedną i drugą stronę.

Epopeja przesiąknięta jest zapachem mokrej żywicy, mokrej wikliny, mchu, grzybów - nawet tam, gdzie o tym nie napisano. Czuje się przez samą asocjację pejzażu. Słychać dalekie szczekanie psów, dalekie gdzieś pianie koguta. Widać dymy z przysiadłych strzech. Kto zna ten kraj! Błoto, ciemność nocy, wilgoć, woda w koleinach drogi, strach. Ludzie idą z bronią i bez broni, z posmakiem upragnionego siana w stodole, czy jeszcze bardziej upragnionego, ciepłego łóżka kochanki. Snują się mgły, snują się wyziewy samogonu, dopóki nie zabierze ich czyste powietrze nocy i świtu. Het, światełka między rojstami. Znowu wypada omijać naszczekiwanie psów. Bywają czarne pustki, ale ciągle ryzyko. Raptowne strzały! Ucieczki. Mokre gałęzie biją o twarz. - W takich to ramach, jeden za drugim, gęsiego, cicho, cicho... stąpali przemytnicy z "noską" towaru na plecach. Po sowieckiej stronie nie wolno było jej rzucać w ucieczce, gdyż w razie złapania stanowiła legitymację, że się nie jest szpiegiem, ale tylko przemytnikiem! - Długa taśma kolorowego filmu. Intryg osobistych, zdrad, miłości, zazdrości i alkoholu. W nagrodę za ryzyko szelest odliczanych banknotów dolarowych, brzęk złotych rubli. O, dużo można było zarobić pod Rakowem na granicy.

Piasecki - jeżeli już o jego talencie mówimy - ma wielki talent narratorski. Czechow powiedział kiedyś, że należy tak pisać, aby strzelba powieszona w opowiadaniu nad łóżkiem, musiała kiedyś wystrzelić; w przeciwnym wypadku nie ma po co jej tam wieszać. To nieprawda. Życie prawdziwe składa się przeważnie z rzeczy, słów, gestów, przedmiotów pobocznych. Przeznaczeniem ich nie jest odegranie roli. Dziś są, jutro zapadają w nicość. Podobnie jak większość spotykanych ludzi, Czechow był genialnym narratorem i przeciętnym ponoć lekarzem. Ale nie ma recepty na oddanie prawdy. Nawet wypisanej przez najgenialniejszego lekarza.

Piasecki szczególnie potrafi oddać atmosferę złożoną z rzeczy i rozmów na pozór pustych, słów prawie naiwnych, które donikąd nie prowadzą. Które stanowią tylko tło dla słów ważkich, wiodących do czynu. Klótnie i animozje wzajemnie powstające z niczego, z przypadkowego zbiegu. Mogą one równie dobrze zaważyć na szali późniejszych akcji, jak rozwiać się w próżni. Wieleż zdarzeń się zdarza bez żadnych następstw. A jednocześnie nurt opowiadania w powieści jest wartki, nigdzie nie nuży, trzyma w napięciu, zbliża nas do rozwiązania, które też

Sergiusz Piasecki i jego niedźwiedzica

Autor: Józef Mackiewicz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

może nie być żadnym rozwiązaniem. Bo czy wiadomo kiedy co ma większą wartość chwili: w czas skierowana lufa "parabellum", tysiąc dolarów, czy butelka wódki, od której pocznie się "sztama" "sitwa" czy "błat". Zresztą grube pieniądze składać można niekoniecznie w banku; czasem bywa bezpieczniej w dziupli drzewa głuchego lasu.

"Żyliśmy - pisze Piasecki we wstępie - jak królowie. Wódkę piliśmy szklankami. Kochały nas ładne dziewczyny. Chodziliśmy po złotym dnie. Płaciliśmy złotem, srebrem i dolarami... Za miłość płaciliśmy miłością, nienawiścią za nienawiść... Lubilem poranki wiosenne, kiedy słońce bawiło się jak dziecko, rozrzucając po niebie barwy i błyski... Lubilem i noce, gdy cisza kleiła powietrze...

"...Witały nas i zegnały karabinowe salwy - często na śmierć, nie wiedząc kogo wybrać pierwszego...

"A nad tym wszystkim: nad nami, ziemią i chmurami, po północnej stronie nieba..."

Pierwsze zapoznanie nastąpiło na bolszewickiej stronie:

"Jeżeli trzeba będzie drałować, to musisz wiedzieć jak wyjść za granicę. Widzisz tamte gwiazdy?

- Które?

Wskazał mi palcem: siedem dużych gwiazd, tworzących coś w rodzaju czterech kół i dyszla z przodu. Trofida, rysując palcem po niebie i, jak mi się zdawało, dotykając nim poszczególnych gwiazd, określił dokładnie, o jakie mu chodziło.

- Tak, widzę. Więc co?

Jeśli dadzą nam kiedyś popędź i rozbiją partię, to kieruj się tak, aby te gwiazdy były po prawej stronie... Jak nie pójdziesz, zawsze wyjdiesz za granicę. Rozumiesz: po prawej ręce!

- Rozumiem.

To były gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy.

Ze wschodu na zachód idąc, aż do słupów granicznych. Na polskim był namalowany biały z koroną orzeł na czerwonym polu. Na sowieckim wyciśnięta na blasze pięcioramienna gwiazda z sierpem i młotem.

Sergiusz Piasecki umarł w Anglii 13 września 1964. Nowe wydanie znakomitej jego powieści "Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" ukazało się w piątą rocznicę jego śmierci.

"Wiadomości"/Londyn/nr 20/1259/z 1970 r.

Sergiusz Piasecki i jego niedźwiedzica

Autor: Józef Mackiewicz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

Nasz Czas 16/2006 (690)